



Yann Martel
ŻYCIE PI



FILM ANGA LEE JUŻ W KINACH!

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Nexto.pl](#).

Yann Martel

ŻYCIE PI

Z angielskiego przełożyła
MAGDALENA SŁYSZ



2012. Wydanie elektroniczne

Tytuł oryginału:

LIFE OF PI

Copyright © Yann Martel 2001

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2013

Polish translation copyright © Magdalena Słysz 2012

Life of Pi film artwork © Twentieth Century Fox Film Corporation 2012

All rights reserved

Redakcja: Ewa Pawłowska

Konsultacja indologiczna: Małgorzata Rybarczyk

Ilustracja na tylnej stronie okładki: tr3gin/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7885-012-0

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com



2013. Wydanie elektroniczne

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](http://Virtualo.pl)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

Dedykacja

OD AUTORA

CZĘŚĆ PIERWSZA Toronto i Puduććeri

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

ROZDZIAŁ 34

ROZDZIAŁ 35

ROZDZIAŁ 36

CZĘŚĆ DRUGA *Ocean Spokojny*

ROZDZIAŁ 37

ROZDZIAŁ 38

ROZDZIAŁ 39

ROZDZIAŁ 40

ROZDZIAŁ 41

ROZDZIAŁ 42

ROZDZIAŁ 43

ROZDZIAŁ 44

ROZDZIAŁ 45

ROZDZIAŁ 46

ROZDZIAŁ 47

ROZDZIAŁ 48

ROZDZIAŁ 49

ROZDZIAŁ 50

ROZDZIAŁ 51

ROZDZIAŁ 52

ROZDZIAŁ 53

ROZDZIAŁ 54

ROZDZIAŁ 55

ROZDZIAŁ 56

ROZDZIAŁ 57

ROZDZIAŁ 58

ROZDZIAŁ 59

ROZDZIAŁ 60

ROZDZIAŁ 61

ROZDZIAŁ 62

ROZDZIAŁ 63

ROZDZIAŁ 64

ROZDZIAŁ 65

ROZDZIAŁ 66

ROZDZIAŁ 67

ROZDZIAŁ 68

ROZDZIAŁ 69

ROZDZIAŁ 70

ROZDZIAŁ 71

ROZDZIAŁ 72

ROZDZIAŁ 73

ROZDZIAŁ 74

ROZDZIAŁ 75

ROZDZIAŁ 76

ROZDZIAŁ 77

ROZDZIAŁ 78

ROZDZIAŁ 79

ROZDZIAŁ 80

ROZDZIAŁ 81

ROZDZIAŁ 82

ROZDZIAŁ 83

ROZDZIAŁ 84

ROZDZIAŁ 85

ROZDZIAŁ 86

ROZDZIAŁ 87

ROZDZIAŁ 88

ROZDZIAŁ 89

ROZDZIAŁ 90

ROZDZIAŁ 91

ROZDZIAŁ 92

ROZDZIAŁ 93

ROZDZIAŁ 94

CZĘŚĆ TRZECIA Szpital Benita Juárez, Tomatlán, Meksyk

ROZDZIAŁ 95

ROZDZIAŁ 96

ROZDZIAŁ 97

ROZDZIAŁ 98

ROZDZIAŁ 99

ROZDZIAŁ 100

Wszystkie rozdziały dostępne w pełnej wersji książki.

à mes parents et à mon frère

OD AUTORA

Życie Pi narodziło się w czasie, gdy odczuwałem głód. Zaraz to wyjaśnię. Wiosną 1996 roku wyszła w Kanadzie moja druga książka, powieść. Nie odniosła sukcesu. Krytycy albo w ogóle nie wiedzieli, co o niej sądzić, albo wygłaszali zdawkowe pochwały, skazując ją na niebyt. Czytelnicy w ogóle nie zwrócili na nią uwagi. Mimo popisów, jakie dawałem, robiąc z siebie klauna albo akrobatę na trapezie, medialny cyrk pozostał obojętny. Moja książka nie szła, stała na półkach księgarskich wśród innych tytułów, ustawionych w szeregu jak dzieciaki przed meczem baseballowym albo futbolowym, i była jak ostatnia oferma, której nikt nie chce wziąć do swojej drużyny. Zniknęła z rynku szybko i po cichu.

Ta porażka nie przygnębiła mnie szczególnie. Zabrałem się do pisania nowej powieści, której akcja miała rozgrywać się w Portugalii w 1939 roku. Tylko że jakoś się niecierpliwiłem. I doskwierał mi brak pieniędzy.

Poleciałem więc do Bombaju. Nie jest to wcale takie nielogiczne, jeśli się weźmie pod uwagę trzy czynniki: życie w Indiach potrafi wyleczyć z niecierpliwości każdego człowieka, da się tam całkiem nieźle funkcjonować nawet przy skromnych środkach finansowych, a powieść osadzona w Portugalii 1939 roku nie musi mieć wiele wspólnego z Portugalią w 1939.

Byłem już wcześniej w Indiach, na północy, przez pięć miesięcy. Przyjechałem wówczas na ten subkontynent zupełnie nieprzygotowany. To znaczy w ramach przygotowań nauczyłem się jednego słowa. Kiedy powiedziałem o planie wyjazdu znajomemu, który dobrze znał ten kraj, rzucił od niechcenia: „W Indiach mówią zabawną angielszczyzną. Uwielbiają tam takie słowa jak »wykiwać«”. Przypomniałem sobie tę rozmowę, gdy samolot, którym leciałem, zaczął podchodzić do lądowania w Delhi, i słowo „wykiwać” stało się moim jedynym pancierzem w starciu z hałaśliwymi, pełnymi zgiełku i zamętu, szalonymi Indiami. Używałem go co jakiś czas i prawdę mówiąc, z dobrym skutkiem. Do kasjera na stacji kolejowej powiedziałem na przykład: „Nie miałem pojęcia, że bilet będzie taki drogi. Chyba nie próbuje mnie pan wykiwać?”. Na to on się uśmiechnął i odparł śpiewnie: „Ależ skąd, proszę pana! My tu nikogo nie kiwamy. Tyle właśnie wynosi opłata”.

Podczas drugiej podróży do Indii wiedziałem już, czego się spodziewać, i miałem świadomość, czego chcę: zamierzałem osiąść gdzieś wysoko w górach i zająć się pisaniem powieści. Widziałem już siebie, jak siedzę przy stole na dużej werandzie, z rozłożonymi notatkami i kubkiem gorącej kawy przed sobą. U moich stóp rozciągają się zielone wzgórza spowite mgłą, a do uszu co jakiś czas dochodzą przenikliwe wrzaski małp. Pogoda jest idealna, rano i wieczorem nosi się lekki sweter, a w ciągu dnia coś z krótkimi rękawami. W takim otoczeniu, z piórem w ręce, dążąc do wyższej

prawdy, napiszę swoją portugalską powieść. Bo czyż pisarstwo nie polega właśnie na selektywnym przetwarzaniu rzeczywistości? Na wyżymaniu jej, aby wycisnąć esencję? Czy trzeba w tym celu jechać do Portugalii?

Moja gospodyni będzie opowiadać mi historie z czasów walki o wypędzenie z Indii Brytyjczyków. Będzie mnie pytać, co chcę na lunch i kolację następnego dnia. Wieczorem, po skończonej pracy, będę chadzał na spacery wśród pofalowanych wzgórz z plantacjami herbaty.

Niestety jednak powieść jęczała, rzeziła i w końcu wydała ostatnie tchnienie. Zgon nastąpił w Matheranie, niedaleko od Bombaju, w małej miejscowości pośród wzgórz, gdzie były wprawdzie mały, ale nie było plantacji herbaty. Początkującym pisarzom zdarzają się podobne nieszczęścia. Masz dobry temat, nawet nieźle ci się pisze. Twoi bohaterowie są tak pełni życia, że brakuje im tylko świadectw urodzenia. Fabuła, którą wymyśliłeś, jest świetna, prosta, ale wciągająca. Przygotowałeś się, zebrałeś wszelkie informacje – na temat historii, stosunków społecznych, klimatu, kulinariów – które mają przydać twojej historii autentyzmu. Dialogi toczą się wartko i aż iskrzy w nich od napięcia. Opisy tryskają kolorami, są kontrastowe i pełne wymownych szczegółów. Wszystko wskazuje, że stworzysz wspaniałe dzieło. Ale to na nic. Mimo iż sprawa wygląda obiecująco, przychodzi taki moment, kiedy uzmysławiasz sobie, że ten cichy głos z tyłu głowy, który od pewnego czasu nie daje ci spokoju, mówi przerażającą prawdę: nic z tego nie będzie. Czegóż brakuje, tej iskry, która ożywia prawdziwą opowieść, niezależnie od tego, czy cała historia albo jej kanwa są takie jak trzeba. To, co wychodzi spod twojego pióra, jest emocjonalnie martwe i w tym cały szkopuł. Uświadomienie sobie tego potrafi złamać w człowieku ducha, możecie mi wierzyć. I pozostawia po sobie bolesny glód.

Nadałem na pocztę w Matheranie notatki do mojej nieudanej powieści. Wysłałem je pod fikcyjny adres na Syberii, podając również fikcyjny adres zwrotny w Boliwii. Gdy urzędniczka ostemplowała przesyłkę i wrzuciła ją do worka pocztowego, usiadłem, przygnębiony i zniechęcony. I co dalej, panie Tolstoj? Masz pan jeszcze jakieś genialne pomysły na życie? – zadałem sobie pytanie.

Hm, zostało mi jeszcze trochę pieniędzy i wciąż czułem dziwny niepokój. Wstałem i wyszedłem z budynku poczty, podjąwszy postanowienie, że wybiorę się na południe Indii, którego nie znałem.

Kusiło mnie, aby tym, którzy pytali, czym się zajmuję, odpowiadać, że jestem lekarzem, bo lekarze to obecnie ludzie uprawiający magię i czyniący cuda. Ale bałem się, że za następnym zakrętem nasz autobus będzie miał wypadek, a wtedy gdy wzrok wszystkich zwróciłby się na mnie, musiałbym wyjaśnić – wśród płaczu i jęku rannych – że jestem tylko doktorem prawa; później zaś, gdyby poprosili mnie o uzyskanie odszkodowania od rządu za ten wypadek, musiałbym wyznać, że tak naprawdę skończyłem filozofię; i wreszcie, wobec rozpaczliwych pytań, jak odnieść się do takiej okropnej tragedii, musiałbym się przyznać, że ledwie zajrzałem do Kierkegaarda; i tak dalej, i tak dalej. Nie pozostało mi więc nic innego, jak trzymać się nieefektywnej, kalekiej prawdy.

W drodze, tu i tam, słyszałem w odpowiedzi: „Pisarz? Naprawdę? Mam dla ciebie świetny temat na powieść”. Przeważnie jednak te historie były tylko anegdotami, którym brakowało oddechu, a co za tym idzie – życia.

Dotarłem do Pudućceri, leżącego na południe od Madrasu na wybrzeżu Tamilnadu, małego ośrodka administracyjnego w autonomicznym terytorium związkowym o tej samej nazwie.

Pod względem liczby mieszkańców i powierzchni to mało znacząca część Indii – w porównaniu z nią kanadyjska Wyspa Księcia Edwarda jest wręcz olbrzymem – ale na skutek biegu historii oddzieliła się od nich. Pudućceri było bowiem kiedyś stolicą najmniejszego z kolonialnych imperiów, Indii Francuskich. Francuzi oczywiście chcieli stanąć z Brytyjczykami do rywalizacji, ale z całego Radżu zdołali opanować tylko kilka niewielkich portów. Trzymali się w nich przez prawie trzysta lat. Opuścili Pudućceri dopiero w 1954 roku, pozostawiając po sobie piękne białe budynki, szerokie, prostopadłe względem siebie ulice o takich nazwach jak rue de la Marine i rue Saint-Louis, a także kepi na głowach policjantów.

Byłem akurat w Indian Coffee House przy ulicy Nehru. To jedna duża sala o zielonych ścianach. Pod wysokim sufitem wirują wentylatory, które wprawiają w ruch ciepłe wilgotne powietrze. Całe pomieszczenie jest zastawione identycznymi kwadratowymi stolikami, każdy z kompletem czterech krzeseł. Siada się, gdzie jest wolne miejsce. Podają tam dobrą kawę i francuskie tosty. Ponieważ często trzeba przysiąść się do kogoś, łatwo wdać się w rozmowę. I tamtego dnia zagadnął mnie dziarski, bystrooki starszy pan z szopą siwych włosów. Potwierdziłem, że w Kanadzie panuje chłodny klimat i rzeczywiście w niektórych prowincjach mówi się po francusku, odparłem, że Indie mi się podobają, i tak dalej, i tak dalej – była to zwykła pogawędka między życzliwie nastawionym autochtonem a zagranicznym turystą z plecakiem. Informację o tym, czym się zajmuję, przyjął, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami i kiwając głową. Przyszła pora się zbierać. Podniosłem rękę, żeby przywołać kelnera i poprosić o rachunek.

Wtedy starszy pan powiedział:

– Znam historię, pod której wpływem uwierzy pan w Boga.

Opuściłem rękę. Ale byłem podejrzliwy. Czyżby pukał do moich drzwi świadek Jehowy?

– Czy pańska historia rozgrywa się dwa tysiące lat temu w oddalonym zakątku imperium rzymskiego? – zapytałem.

– Nie.

A więc może miałem do czynienia z muzułmańskim ewangelistą?

– A nie dzieje się w Arabii w siódmym wieku?

– Nie, nie. Wszystko zaczęło się tu, w Pudućceri, kilka lat temu, a skończyło w kraju, miło mi to panu powiedzieć, z którego pan pochodzi.

– I ta historia ma sprawić, że uwierzę w Boga?

– Owszem.

– To będzie trudne.

– Nie takie trudne, jak się panu zdaje.

Podszedł kelner. Wahalem się przez moment, ale zamówiłem jeszcze dwie kawy. Przedstawiliśmy się sobie. Starszy pan nazywał się Francis Adirubasamy.

– Proszę mi opowiedzieć tę historię.

– Ale musi pan słuchać uważnie.

– Obiecuję. – Wyjąłem długopis i notes.

– Proszę mi powiedzieć, był pan w ogrodzie botanicznym? – zagadnął.

– Tak, nawet wczoraj.

– Zauważył pan tory kolejowe?

– Zauważyłem.

– Kolejka jeździ tam jeszcze w niedziele, głównie ze względu na dzieci, żeby miały zabawę. Ale kiedyś kursowała codziennie, dwa razy na godzinę. A zwrócił pan uwagę na nazwy stacji?

– Jedna nazywa się Roseville. Ta przy ogrodzie różanym.

– Zgadza się. A druga?

– Nie pamiętam.

– Bo zdjęto tablicę. Ta druga stacja nazywała się kiedyś Zootown. Kolejka miała dwa przystanki: Roseville i Zootown. Kiedyś w ogrodzie botanicznym Pudućceri było zoo.

Mówił dalej, a ja notowałem szczegóły.

– Musi pan z nim porozmawiać – powiedział w pewnym momencie. Miał na myśli bohatera opowieści. – Znałem go bardzo dobrze. Teraz jest już dorosłym mężczyzną. Będzie pan mógł go o wszystko dokładnie wypytać.

Znalazłem go – to znaczy głównego bohatera – po powrocie do Toronto; wyluskałem go z dziewięciu kolumn Patelów, figurujących w książce telefonicznej. Serce waliło mi w piersi, gdy wystukiwałem jego numer telefonu. Głos, który usłyszałem w słuchawce, miał hinduski akcent, lekki, ledwie wyczuwalny zaśpiew, jak woń kadzidelka w powietrzu.

– To było bardzo dawno temu – odpowiedział. Ale zgodził się ze mną spotkać. Potem spotykaliśmy się jeszcze wiele razy. Pokazał mi dziennik, który prowadził przed laty. Pokazał poźółkłe wycinki z gazet, dzięki którym stał się nawet, na krótko, sławny. Opowiedział mi całą swoją historię, a ja cały czas skrupulatnie wszystko notowałem. Po prawie roku starań zdołałem, nie bez trudu, wydobyć od japońskiego Ministerstwa Transportu nagranie i raport. I właśnie słuchając tego nagrania, zgodziłem się z panem Adirubasamym: rzeczywiście dzięki tej historii można było uwierzyć w Boga.

Wydało mi się naturalne, że historia pana Patela powinna być opowiedziana przede wszystkim w pierwszej osobie – jego głosem i z jego punktu widzenia. Wszelkie nieścistości czy pomyłki wynikają z mojej winy.

Chciałbym tu podziękować kilku osobom. Najwięcej zawdzięczam oczywiście panu Patelowi. Moja

wdzięczność wobec niego jest bezgraniczna jak sam Pacyfik i mam nadzieję, że nie rozczarowało go to, jak przedstawiłem jego historię. Dziękuję też panu Adirubasamy'emu, który podsunął mi temat do tej książki. Za pomoc w jej ukończeniu jestem winien wdzięczność trzem urzędnikom, którzy wykazali się wyjątkowym profesjonalizmem: panu Kazuhiko Odzie, obecnie pracownikowi Ambasady Japońskiej w Ottawie; panu Hiroshiemu Watanabe z Oika Shipping Company i szczególnie panu Tomohiro Okamoto, emerytowanemu obecnie urzędnikowi japońskiego Ministerstwa Transportu. A jeśli chodzi o tę iskrę, która tchnęła w opowieść życie, to zawdzięczam ją panu Moacyrowi Scliarowi. I wreszcie chciałbym wyrazić szczerą wdzięczność wspaniałej instytucji, jaką jest Canada Council for the Arts, bo gdyby nie przyznane mi przez nią stypendium, nie napisałbym tej książki, która nie ma nic wspólnego z Portugalią w 1939 roku. Jeśli my, obywatele, nie będziemy wspierali artystów, to złożymy naszą wyobraźnię na ołtarzu twardej rzeczywistości i skończy się tak, że nie będziemy mieli w co wierzyć i o czym śnić.

CZĘŚĆ PIERWSZA
Toronto i Pudućeri

ROZDZIAŁ 1

Cierpienia, których doznałem, pozostawiły we mnie smutek i przygnębienie.

Do życia powoli przywróciły mnie studia i odprawiane z całą świadomością praktyki religijne. Wróciłem bowiem do moich dziwacznych dla niektórych praktyk religijnych. Po roku nauki w szkole średniej wstąpiłem na uniwersytet w Toronto i podjąłem studia na dwóch kierunkach, religioznawstwie i zoologii. Moja praca dyplomowa z religioznawstwa dotyczyła pewnych aspektów kosmogonicznej teorii Izaaka Lurii, wybitnego szesnastowiecznego kabalisty z Safedu. Praca z zoologii była natomiast poświęcona funkcjonalnej analizie tarczycy leniwca trójpalczastego. Wybrałem to zwierzę dlatego, że jego usposobienie – łagodne, spokojne, jakby introspektywne – działało kojąco na moją umęczoną duszę.

W przyrodzie występują leniwce dwu – i trójpalczaste, w zależności od budowy przednich kończyn, ponieważ u tylnych wszystkie leniwce mają trzy pazury. Pewnego lata dopisało mi szczęście i mogłem obserwować leniwca trójpalczastego in situ, w brazylijskiej dżungli równikowej. To bardzo intrygujące stworzenie. Jego główną cechą jest nieruchawość. Śpi albo odpoczywa średnio dwadzieścia godzin na dobę. Nasz zespół badał sen pięciu dzikich leniwców trójpalczastych, umieszczając na ich łbach wczesnym wieczorem, gdy zasypiały, czerwone plastikowe miseczki z wodą. Następnego ranka znajdowaliśmy naczynia na miejscu, tyle że z mnóstwem insektów w wodzie. Leniwiec jest najbardziej aktywny o zachodzie słońca, choć słowa „aktywność” nie należy tu rozumieć dosłownie. Ponieważ wówczas zwierzę jedynie przesuwa się po gałęzi w typowej dla siebie pozycji wiszącej, z łbem na dół, pokonując około czterystu metrów na godzinę. Na ziemi leniwiec przemieszcza się od drzewa do drzewa z szybkością dwustu pięćdziesięciu metrów na godzinę, i to wtedy, gdy jest zmotywowany, czyli czterysta czterdzieści razy wolniej niż zmotywowany gepard.

Leniwiec trójpalczasty słabo orientuje się w świecie zewnętrznym. W skali od dwóch do dziesięciu, w której dwa oznacza wyjątkową tępotę, a dziesięć – nadzwyczajną ostrość, Beebe (1926) ocenił zmysł smaku, dotyku, wzroku i słuchu tego zwierzęcia na dwójkę, a zmysł zapachu – na trójkę. Jeśli natkniemy się w warunkach naturalnych na śpiącego leniwca trójpalczastego, dwa – trzy dźgnięcia powinny go obudzić; wtedy rozejrzy się sennie we wszystkie strony, tylko nie spojrzy w naszą. Po co w ogóle rozgląda się wokół siebie, nie wiadomo, skoro widzi wszystko niewyraźnie, w postaci zamazanych plam, jak pan Magoo. Jeśli chodzi o słuch, leniwiec jest nie tyle głuchy, ile obojętny na dźwięk. Beebe stwierdził, że wystrzały z broni tuż obok śpiących albo pożywiających się leniwców nie wywołują prawie żadnej reakcji z ich strony. Nieco lepiej rozwiniętego u leniwca zmysłu smaku też nie należy przeceniać. Podobno zwierzęta te potrafią wyczuć przegniłe gałęzie i ich

unikac, ale Bullock (1968) pisze, że przypadki leniwców, które na nie włączają i potem spadają, są „dość częste”.

Być może zapytacie: to jak udaje im się przeżyć?

Właśnie dzięki swojej powolności. Ciągła senność i rozleniwienie pozwalają im ująć przed napaścią, bo jaguary, oceloty, harpie i anakondy po prostu ich nie zauważają. W sierści leniwca żyje glon, który przybiera brązową barwę w porze suchej i zieloną w porze deszczowej, dzięki czemu zwierzę wtapia się w otoczenie, czyli mchy i liście, i wygląda jak kopiec białych mrówek, gniazdo wiewiórek czy wręcz część drzewa.

Leniwiec trójpalczasty wiecie spokojne życie wegetarianina w idealnej harmonii ze swoim środowiskiem. Na pysku stale ma dobroduszny uśmiech – donosił Tirler (1966). Widziałem ten uśmiech na własne oczy. Nie jestem skłonny przypisywać zwierzętom ludzkich cech ani emocji, ale wiele razy podczas tamtego miesiąca w Brazylii, patrząc na odpoczywającego leniwca, miałem wrażenie, że widzę wiszącego do góry nogami, pogrążonego w medytacji jogina albo rozmodlonego pustelnika, a w każdym razie istotę myślącą, której życie wewnętrzne pozostaje poza zasięgiem naukowych metod badawczych.

Czasami nawet myliły mi się kierunki studiów. Wielu moich kolegów z religioznawstwa – nawiedzonych agnostyków, którzy błędzili w niewoli rozumu, tego tombaku dla intelektualistów – przypominało mi leniwca trójpalczastego; a z kolei leniwiec trójpalczasty, piękny przejaw cudu, jakim jest życie, przywodził mi na myśl Boga.

Nigdy nie miałem problemów z kolegami naukowcami.

Naukowcy to sympatyczni ateści, pracowity, popijający piwo gatunek ludzi, którzy gdy nie zajmują się nauką, uprawiają seks, grają w szachy i baseball.

Byłem bardzo dobrym studentem, jeśli mogę sam tak o sobie powiedzieć. Przez cztery lata z rzędu należałem do czołówki w college'u Świętego Michała. Otrzymałem wszystkie możliwe nagrody przyznawane na wydziale zoologii. Jeśli natomiast nie dostałem żadnej na wydziale religioznawstwa, to tylko dlatego, że tam studentów się nie nagradza (nagród za studia w dziedzinie religii nie przyznają, jak wszystkim wiadomo, śmiertelnicy). Dostałbym też Medal Akademicki Gubernatora Generalnego, najwyższe odznaczenie dla absolwenta uniwersytetu w Toronto, którym odznaczono niemałą liczbę wybitnych Kanadyjczyków, gdyby nie pewien mięsożerny, rumiany chłopak z karkiem jak pień drzewa i nieznośnie pogodnym usposobieniem.

Wciąż mi trochę smutno z tego powodu. Jeśli wycierpiało się dużo w życiu, każda dodatkowa przykrość staje się nie do zniesienia, choć jest jednocześnie błahostką. Moje życie przypomina europejski obraz z przesłaniem memento mori; zawsze pojawia się obok mnie szczerząca zęby trupia czaszka, która przypomina mi, że ludzkie ambicje są niczym. Kpię sobie z niej. Patrzę na nią i mówię: Trafiałaś pod zły adres. Ty może nie wierzysz w życie, ale ja nie wierzę w śmierć. Spadaj! Czaszka chichocze i przysuwa się jeszcze bliżej, co mnie nie dziwi. Jeśli śmierć trzyma się tak blisko

życia, to nie z powodu biologicznej konieczności – lecz z zawiści. Życie jest tak piękne, że śmierć się w nim zakochała zazdrosną, zaborczą miłością. Ono jednak przeskakuje lekko nad niebytem, gubiąc po drodze parę pozbawionych znaczenia drobiazgów, a przygnębienie jest zaledwie jak cień rzucany przez umykającą w dal chmurę. Rumiany chłopiec zdobył również względy komitetu przyznającego stypendium Rhodesa. Lubię go i mam nadzieję, że pobyt w Oksfordzie dużo mu dał. Jeśli Lakszmi, bogini szczęścia i bogactwa, spojrzy kiedyś na mnie łaskawie, Oksford jest piątym z miast na mojej liście, do których chciałbym przed śmiercią pojechać, po Mekce, Waranasi, Jerozolimie i Paryżu.

O moim życiu zawodowym nie mam nic do powiedzenia oprócz tego, że krawat to stryczek, i choć pętlę ma u góry, człowiek może na nim zawisnąć, jeśli nie będzie uważał.

Kocham Kanadę. Brakuje mi upałów Indii, tamtejszych potraw, jaszczurek na ścianach domu, bollywoodzkich musicali na srebrnym ekranie, krów wędrujących po ulicach, krakania wron, nawet rozmów o meczach krykieta, ale kocham Kanadę. To wspaniały kraj, choć o wiele za zimny, pełen wrażliwych, inteligentnych ludzi o okropnych fryzurach. W każdym razie nie mam po co wracać do Pudućeri.

Richard Parker jest ze mną cały czas. Nie zapomniałem o nim. Czy mogę powiedzieć, że za nim tęsknię? O tak. Tęsknię. Wciąż widuję go w snach. To przeważnie koszmary, ale koszmary naznaczone miłością. Tak to już jest z ludzkim sercem. Do dziś nie potrafię zrozumieć, jak mógł tak bezceremonialnie mnie porzucić, nie pożegnać się w żaden sposób, nawet się nie obejrzeć. Wciąż boli mnie to dotkliwie.

Lekarze i pielęgniarki w szpitalu w Meksyku byli dla mnie niewiarygodnie dobrzy. Pacjenci także. Chorzy na raka albo ofiary wypadków samochodowych, gdy tylko usłyszeli moją historię, kuśtykali i przyjeżdżali na wózkach inwalidzkich, żeby do mnie zajrzeć, razem z rodzinami, choć nie znali angielskiego, a ja hiszpańskiego. Uśmiechali się do mnie, ściskali mi dłoń, głaskali mnie po głowie, zostawiali na łóżku upominki w postaci czegoś do jedzenia albo ubrania. Ze wzruszenia dostawałem niekontrolowanych napadów śmiechu albo płaczu.

Po kilku dniach mogłem już wstać, nawet zrobić dwa, trzy kroki, mimo zawrotów głowy, nudności i ogólnego osłabienia. Badania wykazały, że miałem anemię i że poziom sodu we krwi był za wysoki, a potasu za niski. Mój organizm zatrzymywał wodę i straszliwie puchły mi nogi. Wyglądałem, jakby przeszczepiono mi nogi słonia. Mój mocz miał intensywny ciemnożółty kolor, niemal przechodzący w brąz. Po mniej więcej tygodniu mogłem już w miarę normalnie chodzić i nosić buty, choć niezasnurowane. Skóra mi się wygoiła, ale na ramionach i plecach pozostały blizny.

Gdy pierwszy raz odkręciłem kurek, głośny, obfity aż do marnotrawstwa strumień wody wywołał u mnie taki szok, że zacząłem bełkotać, nogi się pode mną ugięły i padłem zemdłony w ramiona pielęgniarki.

Kiedy po raz pierwszy poszedłem w Kanadzie do hinduskiej restauracji, zacząłem jeść palcami. Kelner spojrzał na mnie krytycznie i rzucił: „Dopiero co zeszło się ze statku, mam rację?”. Zbladłem. Moje palce, które sekundę wcześniej jak kubki smakowe badały potrawę, zanim trafi do ust, stały się pod jego spojrzeniem brudne. Zastygły w bezruchu jak przestępcy złapani na gorącym uczynku. Nie ośmieliłem się ich oblizać. Z poczuciem winy wytarłem je w serwetkę. On nie miał pojęcia, jak głęboko mnie zranił. Jego słowa były jak gwoździe wbijane w ciało. Wziąłem nóż i widelec. Wcześniej rzadko kiedy ich używałem. Dłonie mi drżały. Sambar, który jadłem, zupełnie stracił dla mnie smak.

ROZDZIAŁ 2

Mieszka w Scarborough. Jest szczupły i niski – ma nie więcej niż pięć stóp i pięć cali wzrostu. Ciemne włosy, ciemne oczy. Siwieje na skroniach. Na pewno nie przekroczył jeszcze czterdziestki. Ładna cera koloru kawy z mlekiem. Jest ciepła jesień, a mimo to, idąc na kolację, włożył obszerną zimową parkę z kapturem obszytym futrem. Twarz ma wyrazistą. Mówi szybko, żywo gestykulując. Nie uprawia towarzyskich pogaduszek. Przechodzi od razu do rzeczy.

ROZDZIAŁ 3

Moje imię pochodzi od nazwy basenu. To dość dziwne, zważywszy, że moi rodzice nigdy nie przepadali za wodą. Jednym z najwcześniejszych współpracowników ojca był Francis Adirubasamy. Stał się on bliskim przyjacielem rodziny. Nazywałem go Mamadzi; mama to tamilskie słowo na określenie stryja, a dzi jest przyrostkiem, stosowanym w Indiach, aby wyrazić szacunek i przywiązanie. W młodości, na długo przed moim narodzeniem, Mamadzi uprawiał pływanie sportowe, był mistrzem całych południowych Indii. Uwielbiał pływać. Mój brat Rawi powiedział mi kiedyś, że Mamadzi, kiedy się urodził, chciał nadal oddychać w wodzie, więc lekarz, aby uratować mu życie, chwycił go za nogi i zaczął kręcić nim młynka nad głową.

– I poskutkowało! – oświadczył Rawi, wymachując ręką jak szalony. – Mamadzi wykrztusił wodę i zaczął oddychać powietrzem, ale wtedy cała jego masa i krew poszły jakby w korpus. Dlatego teraz ma taką potężną pierś i takie chude nogi.

Uwierzyłem w tę opowieść. (Rawi był bezlitosnym kpiarzem. Po tym jak po raz pierwszy nazwał przy mnie Mamadziego „Panem Rybą”, podrzuciłem mu do łóżka skórkę od banana). Nawet po sześćdziesiątce, kiedy Mamadzi trochę się już garbił, a kontrapołożnicza siła grawitacji zaczęła ściągać jego ciało w dół, co rano przepływał trzydzieści razy basen w aśramie Aurobinda.

Próbował nauczyć pływać moich rodziców, ale nie udało mu się ich nakłonić do niczego, co by wykraczało poza brodenie po kolana w wodzie przy plaży czy żalodne machanie rękami, co jeśli ćwiczili żabkę, wyglądało, jakby przedzierali się przez dżunglę, rozgarniając wysokie trawy, a jeśli był to kraul – jakby biegli w dół po stoku wzgórza, mlóćąc rękami powietrze, żeby nie stracić równowagi. Rawi również nie przejawiał w tym kierunku entuzjazmu.

Żeby znaleźć chętnego i pilnego ucznia, Mamadzi musiał zaczekać, aż na scenie pojawię się ja. W dniu, w którym według niego dojrzałem do pływania, co ku zaniepokojeniu matki nastąpiło w moje siódme urodziny, zabrał mnie na plażę, wskazał obiema rękami morze i oznajmił:

– To mój prezent dla ciebie.

– A potem o mało cię nie utopił – twierdziła później matka.

Pozostałem wierny mojemu wodnemu guru. Pod jego baczny okiem kładłem się na plaży, a następnie wierzgałem nogami i rozgarniałem rękami piasek, obracając głowę przy każdym ruchu, żeby złapać oddech. Musiałem wyglądać jak rozkapryszony smarkacz, który dostał dziwnego napadu złości i rzuca się jakby w zwolnionym tempie. Potem, już w wodzie, podtrzymywany przez Mamadziego, dawałem z siebie wszystko. To było znacznie trudniejsze niż na lądzie. Ale Mamadzi był cierpliwy i nie przestawał mnie zachęcać.

Kiedy uznał, że poczyniłem wystarczające postępy, zostawiliśmy roześmianych i rozkrzyczanych

plażowiczów, biegających i ochlapujących się wodą, a wraz z nimi zielononiebieską toń i spienione fale przyboju, żeby przenieść się na basen aśramu, dostępny za opłatą prostokąt o płaskiej, jak się należy, powierzchni wody.

Chodziłem tam z nim trzy razy w tygodniu przez całe moje dzieciństwo; był to nasz poniedziałkowy, środowy i piątkowy poranny rytuał, odprawiany z regularnością perfekcyjnie wykonywanych ruchów kraulem. Mam żywo w pamięci tego dostojnego starszego człowieka, który rozbierał się przy mnie do naga; jego ciało wylaniało się, w miarę jak starannie zdejmował po kolei wszystkie części garderoby, a na końcu, czyniąc zadość przyzwoitości, odwracał się lekko i wciągał na siebie wspaniałe importowane sportowe kąpielówki. Wreszcie się prostował i był gotowy. Miało to w sobie niemal epicki wymiar. Nauka pływania, która z czasem przekształciła się w ćwiczenia pływackie, była wyczerpująca, ale czułem głęboką przyjemność, wykonując odpowiednie ruchy z coraz większą łatwością i coraz szybciej, raz za razem, niemal jak w transie hipnotycznym, aż woda z płynnego ołowiu zamieniała się w płynne światło.

Potem już sam wróciłem nad morze, jak po zakazaną przyjemność, przywoływany przez potężne bałwany, które rozbijały się o brzeg i zagarniały mnie już znacznie mniej zaborczo cofającymi się małymi falami niczym delikatne *lassa zarzucane* na ochoczego małego Hindusa.

W któreś urodziny, musiałem mieć wtedy ze trzynaście lat, ja z kolei podarowałem Mamadziemu w prezencie dwie całe długości basenu w całkiem porządnym stylu motylkowym. Gdy skończyłem, byłem tak wyczerpany, że ledwie miałem siłę mu pomachać.

Oprócz pływania były też rozmowy o nim. Tata je uwielbiał. Im gwałtowniej protestował przeciwko pływaniu, tym bardziej go ono fascynowało. Gawędy o tym sporcie stanowiły wytchnienie od codziennych rozmów o prowadzeniu zoo. Woda bez hipopotama była dla niego czymś znacznie ciekawszym i przyjemniejszym niż woda z hipopotamem.

Mamadzi dzięki kolonialnym rządóm przez dwa lata studiował w Paryżu. Wspominał ten okres jako najwspanialszy w swoim życiu. Było to na początku lat trzydziestych, gdy Francuzi wciąż jeszcze w takim stopniu starali się nadać *Pudućceri* galijski charakter, jak Anglicy reszcie Indii charakter brytyjski. Nie pamiętam dokładnie, co konkretnie studiował Mamadzi. Chyba coś związanego z handlem. Był wspaniałym gawędziarzem, ale nigdy nie wspominał o zajęciach na uczelni, wieży Eiffła, Luwrze ani o kafejkach przy Polach Elizejskich, jakby o tym zupełnie zapomniał. Wszystkie jego opowieści wiązały się z zawodami pływackimi i basenami. Był na przykład *piscine Deligny*, najstarszy basen w mieście, pochodzący jeszcze z 1796 roku, czyli zacumowana do *Quai d'Orsay* pod gołym niebem wielka napęczniona wodą barka, gdzie rozgrywano zawody pływackie podczas olimpiady w 1900 roku. Żaden jednak z uzyskanych tam czasów nie został uznany przez Międzynarodową Federację Pływacką, ponieważ basen był o sześć metrów za długi. Woda pochodziła wprost z Sekwany, nie filtrowano jej ani nie podgrzewano.

– Była zimna i brudna – opowiadał Mamadzi. – Po przepłynięciu przez cały Paryż stawała się

wręcz ohydna. Potem jeszcze dokładali się do tego ludzie korzystający z basenu.

Konspiracyjnym szeptem, dodając szokujące szczegóły na poparcie swoich słów, zapewniał nas, że Francuzi mieli bardzo niskie standardy w sferze higieny osobistej.

– Basen Deligny był odrażający. Bain Royal, kolejny wychodek na Sekwanie, jeszcze gorszy. Z Deligny przynajmniej wylawiali śnięte ryby.

Niemniej basen olimpijski to basen olimpijski, opromieniony nieśmiertelną sławą. Nawet jeśli Deligny był szambem, Mamadzi mówił o nim z czułym uśmiechem.

Trochę lepiej było w piscines Chateau-Landon, Rouvet czy du boulevard de la Gare. Były to kryte baseny otwarte przez cały rok. Wodę do nich dostarczano z pobliskich fabryk w postaci pary wytwarzanej przez silniki parowe, była więc czystsza i cieplejsza. Ale i te pływalnie były brudne i raczej zatłoczone.

– W wodzie było tyle smarków i plwocin, jakby pływało się wśród meduz – śmiał się Mamadzi.

Piscines Hebert, Ledru-Rollin i Butte-aux-Cailles były jasne, nowoczesne i przestronne, zasilane wodą ze studni artezyjskich. Wyznaczały one standardy dla basenów komunalnych. Był też, oczywiście, Piscine des Tourelles, inny wielki basen olimpijski, otwarty podczas drugich paryskich igrzysk w 1924 roku. No i jeszcze wiele, wiele innych.

Jednakże w oczach Mamadziego żaden basen nie mógł się równać z piscine Molitor. Była to chluba Paryża, a nawet całego cywilizowanego świata, jeśli chodzi o sporty wodne.

– W takim basenie z rozkoszą pływaliby bogowie. Działał tam najlepszy sportowy klub pływacki w Paryżu. Pływalnia składała się z dwóch basenów, krytego i odkrytego. Oba miały rozmiary małych oceanów. W krytym dwa tory były zawsze zarezerwowane dla pływaków, którzy chcieli pokonywać długie dystanse. Woda była tak czysta i przejrzysta, że dałoby się z niej zaparzyć poranną kawę. Basen otaczały drewniane dwupoziomowe przebieralnie, biało-niebieskie. Jeśli spojrzano się z nich w dół, widziało się wszystko i wszystkich. Pracownicy, utykający starsi mężczyźni, życzliwi, choć trochę szorstcy, oznaczali zajęte kabiny, rysując na ich drzwiach znaki kredą. Żadne wrzaski ani wygłupy nie były w stanie wyprowadzić ich z równowagi. Z prysznic tryskała gorąca, rozkoszna woda. Na terenie pływalni były też sauna i sala gimnastyczna. Basen odkryty zamieniał się zimą w lodowisko. Mieli tam bar, kawiarnię, duży słoneczny taras, a nawet dwie małe plaże z prawdziwym piaskiem. Wszędzie kafelki, mosiądz i polerowane drewno. To było... to było...

Na wspomnienie tego jedyne, wyjątkowego basenu Mamadzi milkł; jego pamięć musiała pokonać zbyt duży dystans.

Mamadzi wspominał, ojciec popadał w rozmarzenie.

W takich to właśnie okolicznościach, gdy trzy lata po Rawim przyszedłem na świat jako ostatni, mile widziany członek rodziny, nazwano mnie Piscine Molitor Patel.

ROZDZIAŁ 4

Nasz poczciwy stary kraj był republiką zaledwie od siedmiu lat, gdy powiększył się o niewielkie terytorium. Pudućceri zostało przyłączone do Indii pierwszego listopada 1954 roku. Kolejne osiągnięcia w rozwoju społecznym pociągały za sobą następne. Część terenów ogrodu botanicznego w Pudućceri wydzierżawiono bezpłatnie, żeby stworzyć atrakcyjne warunki do rozwoju przedsiębiorczości, i oto – patrzcie i podziwiajcie – w Indiach powstało nowe zoo, zaprojektowane i prowadzone według najnowocześniejszych naukowych wytycznych.

Było to wielkie zoo, obejmujące mnóstwo akrów ziemi, na tyle duże, że aby zwiedzić je całe, trzeba było wsiąść do kolejki, choć w miarę jak dorastałem, wydawało mi się coraz mniejsze i mniejsze, tak jak sama kolejka. Teraz jest już takie małe, że mieści się w mojej głowie. Proszę sobie wyobrazić tę gorącą, wilgotną oazę, skąpaną w blasku słońca i aż kipiącą jaskrawymi barwami. Trwa tam nieustająca feeria kwiatów. Rośnie mnóstwo drzew, krzewów i pnączy – figowce pagodowe, poincjany królewskie, „płomienie lasu”, wełniaki, jakarandy, mangowce, bochenkowce i wiele innych, których nazw człowiek nigdy by nie poznał, gdyby nie postawiono przed nimi tabliczek. Są ławki. Na tych ławkach widuje się wyciągniętych wygodnie śpiących ludzi albo zakochane pary, które zerkają na siebie nieśmiało i trzepoczą dłońmi, gdy dotkną się przypadkiem. Nagle wśród wysokich, strzelistych drzew przed sobą dostrzegasz dwie żyrafy, które przyglądają ci się spokojnie. Taki widok to nie ostatnia niespodzianka. Chwilę później wzdrygasz się, bo dochodzi do ciebie wściekły jazgot wielkiego stada małp, przez który mogą się przebić jedynie przenikliwe okrzyki egzotycznych ptaków. Dochodzisz do kołowrotu przy wejściu. Z roztargnieniem płacisz jakąś drobną sumę za bilet. Wchodzisz. Widzisz niski mur. Co może kryć się za niskim murem? Na pewno nie płytka fosa z dwoma wielkimi indyjskimi nosorożcami. Ale to na nią właśnie się natykasz. A kiedy odwracasz głowę, widzisz słonia, który był tam cały czas, tak wielki, że go nie zauważyłeś. I uświadamiasz sobie, że to, co pływa w wodzie, to hipopotamy. Im uważniej patrzysz, tym więcej dostrzegasz. Jesteś w Zootown!

Przed przeprowadzką do Pudućceri ojciec prowadził wielki hotel w Madrasie. Nieustające zainteresowanie zwierzętami doprowadziło do tego, że zajął się prowadzeniem zoo. Można by pomyśleć: naturalne przejście, od obsługi ludzi do obsługi zwierząt. Nie za bardzo. Pod wieloma względami prowadzenie zoo to jak najgorszy koszmar hotelarza. Proszę pomyśleć: klienci nigdy nie wychodzą z numeru; wymagają nie tylko zakwaterowania, ale też obsługi i pełnego wyżywienia; przyjmują niekończący się korowód gości, niektórych bardzo hałaśliwych i niesfornych. Trzeba czekać, aż wyjdą na taras – by się tak wyrazić – żeby wysprzątać ich kwaterę, a potem trzeba czekać, aż znudzą się widokiem i wrócą do środka, żeby z kolei wysprzątać taras; a tego sprzątnięcia jest dużo,

bo klienci są niechlujni jak pijacy. Każdy na innej diecie, stale skarży się na obsługę, że jest za wolna, i nigdy, przenigdy nie daje napiwków. Mówiąc szczerze, wielu z nich to dewianci seksualni, którzy albo tłumią naturalne popędy i ni stąd, ni zowąd ulegają napadom dzikich żądz, albo sąjawnie zdeprawowani, co w obu przypadkach naraża kierownictwo na nieokiełznane orgie seksualne albo bezwstydną akty kazirodztwa. Czy takich klientów chciałoby się gościć w swoim hotelu? Zoo w Pudućeri dostarczało czasami powodów do radości panu Santośowi Patelowi, założycielowi, właścicielowi, dyrektorowi, szefowi pięćdziesięcioosobowego personelu i mojemu ojcu w jednej osobie, ale też często przyprawiało go o ból głowy.

Dla mnie był to prawdziwy raj na ziemi. Z zoo wiążą się moje najlepsze wspomnienia z okresu dzieciństwa. Żyłem sobie jak książętko. Jaki syn maharadży ma do dyspozycji tak wielki, luksusowy plac zabaw? W jakim pałacu jest taka menażeria? W dzieciństwie zamiast budzika budziło mnie stado lwów. Nie były to szwajcarskie zegarki, ale ryczały nieodmiennie, unosząc wysoko łby, gdzieś między wpół do szóstej a szóstą rano. Śniadaniu towarzyszyły wrzaski i piski wyjców, gwarków i papug kakadu. Wychodziłem do szkoły odprowadzany czułym spojrzeniem nie tylko matki, ale także bystrookich wydr, potężnego bizona amerykańskiego oraz przeciągających się i ziewających orangutanów. Przebiegając pod niektórymi drzewami, czujnie patrzyłem w górę, żeby przypadkiem nie narobił na mnie paw. Już lepiej było biec pod drzewami, na których żyły wielkie kolonie nietoperzy owocożernych; o tak wczesnej porze z ich strony mogłem się spodziewać jedynie kakofonicznych koncertów, na które składały się skrzeki i piski. W drodze do wyjścia przystawałem czasami przy terrariach, żeby popatrzeć na lśniące, jakby glazurowane żaby, jaskrawozielone, żółto-granatowe albo brązowo-groszkowe. A czasami moją uwagę przykuwały ptaki: różowe flamingi, czarne łabędzie, kazuary jednokoralowe albo coś mniejszego, srebrne gołąbki diamentowe, szpaki przylądkowe o lśniącym upierzeniu, papużki nierozłączki o brzoskwiniowych łebkach, konury czarnogłowe i pomarańczowe papużki długoogonowe. Nie było co liczyć, że wstaną już słonie, foki, wielkie koty czy niedźwiedzie, ale pawiany, makaki, mangaby, gibony, jelenie, tapiry, lamy, żyrafy i mangusty budziły się wcześniej. Każdego ranka, zanim wyszedłem za główną bramę, zegnały mnie widoki i wrażenia jednocześnie całkiem zwyczajne i niezapomniane: piramida żółwi, opalizujący pysk mandryla, stateczne milczenie żyrafy, wielka żółtawa rozdziawiona paszcza hipopotama, arczepiająca się dziobem i pazurami ogrodzenia z siatki, powitalny klekot butodzioba, otepiało-pożądliwe spojrzenie wielbłąda. Wszystkie te cuda rejestrowałem przelotnie, spiesząc się do szkoły. Dopiero po lekcjach odkrywałem spokojnie, jakie to uczucie, gdy obszukuje cię słoń w nadziei znalezienia ukrytego w kieszeni orzecha, a orangutan przeczesuje ci włosy, poszukując kleszcza na przekąskę i posapując z zawodem, gdy okazuje się, że spiżarnia na twojej głowie jest beznadziejnie pusta. Szkoda, że nie potrafię oddać perfekcji ruchów, z jaką foka wślizguje się do wody, czepiak przeskakuje z gałęzi na gałąź, a lew zwyczajnie obraca głowę. Ale język w takich okolicznościach zawodzi. Jeśli chce się to wszystko poczuć, trzeba zdać się na wyobraźnię.

Najlepszą porą na obserwowanie zwierząt w zoo, tak samo jak w środowisku naturalnym, są wschód i zachód słońca. Wtedy właśnie ożywia się większość z nich. Budzą się, opuszczają kryjówki i powoli zmierzają do wodopoju. Popisują się, demonstrując swoje walory. Śpiewają swoje pieśni. Zwracają się ku sobie i odprawiają rytuały. Tego, kto wyteży wzrok i słuch, czeka sowita nagroda. Niezliczenie wiele godzin obserwowałem w milczeniu te wyszukane przejawy życia, które stanowią ozdobę naszej planety. To coś tak olśniewającego, wymownego, zadziwiającego i subtelnego, że oszalałami wszystkie zmysły.

Słyszałem niemal tyle samo bzdur o zoo, ile o Bogu i religii.

Pełni dobrej woli, ale mało zorientowani ludzie sądzą, że zwierzęta na wolności są „szczęśliwe”, bo „wolne”. Takie osoby mają na myśli zwykle duże, piękne drapieżniki, lwa albo geparda (życie gnu albo mrównika mało komu wydaje się ekscytujące). Wyobrażają sobie, że takie dzikie zwierzę wyrusza sawanną na poobiedni spacer po pożarciu ofiary, która z pokorą przyjęła swój los, albo urządza sobie jogging, aby po wielkim obżarstwie zadbać o smukłą sylwetkę. Widzą oczami wyobraźni, jak z dumną i czułością opiekuje się potomstwem i w rodzinnym gronie podziwia zachód słońca, leżąc na gałęzi drzewa i pomrukując z zadowoleniem. Wydaje im się, że życie dzikiego zwierzęcia jest proste, szlachetne i celowe. Potem zwierzę zostaje schwyte przez złych ludzi i zamknięte w ciasnej klatce niczym w celi. I jest ogromnie „nieszczęśliwe”. Straszliwie tęskni za „wolnością” i robi wszystko, aby uciec z niewoli. Zbyt długo pozbawione „wolności” staje się cieniem samego siebie, a jego duch zostaje złamany. Tak niektórzy myślą.

Ale w rzeczywistości sprawa wygląda inaczej.

Zwierzęta w warunkach naturalnych wiodą życie oparte na przymusie i konieczności, podlegające sztywnej hierarchii społecznej, w środowisku, gdzie strachu jest dużo, a pożywienia mało, gdzie stale należy bronić swojego terytorium i wiecznie znosić pasożyty. Co w takim kontekście znaczy wolność? Dziko żyjące zwierzęta nigdy nie są tak naprawdę wolne, ani w kategoriach przestrzeni, ani czasu, ani relacji osobniczych. Teoretycznie – bo jest taka fizyczna możliwość – mogłyby wziąć nogi za pas i uciec, przełamując konwencje społeczne i bariery obowiązujące w swoim gatunku. Ale coś takiego zdarza się raczej przedstawicielom naszego gatunku, gdy, powiedzmy, sklepikarz, obarczony zwyczajowymi zobowiązaniami – rodzinnymi, towarzyskimi, społecznymi – rzuca wszystko i odchodzi w siną dal z garścią drobniaków w kieszeniach i tym, co ma na sobie, aby rozpocząć gdzie indziej nowe życie. Jeśli człowiek, najśmielsze i najinteligentniejsze ze wszystkich stworzeń, nie wędruje z miejsca na miejsce, wszędzie obcy, z nikim ani niczym niezwiązany, to dlaczego miałoby tak postępować zwierzę, które z natury jest znacznie bardziej konserwatywne? Bo zwierzęta są konserwatystami, a można by nawet powiedzieć – reakcjonistami. Wytrącają je z równowagi najmniejsze zmiany. Zwierzęta chcą, żeby wszystko było tak, jak jest, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu. Zdecydowanie nie życzą sobie niespodzianek. Przejawia się to wyraźnie w ich zachowaniach terytorialnych. Zwierzę ma swoją

przestrzeń, czy to w zoo, czy w naturalnych warunkach, i porusza się po niej na takiej samej zasadzie, na jakiej po szachownicy poruszają się figury szachowe – jest w tym pewna metoda. W poczynaniach jaszczurki, niedźwiedzia czy jelenia nie ma nic przypadkowego, żadnej „wolności”, tak samo jak w ruchach skoczka na szachownicy. W obu przypadkach jest pewna prawidłowość i cel. W warunkach naturalnych zwierzęta trzymają się tych samych ścieżek, z sezonu na sezon, dla tych samych istotnych powodów. Jeśli zwierzę w zoo o zwykłej porze nie przebywa w zwykłym miejscu w typowej dla siebie pozycji, to musi coś znaczyć. Może to być spowodowane nawet drobną zmianą w jego otoczeniu. Zostawiony przez pracownika zwinięty wąż do podlewania wygląda groźnie. Kałuża przybrała niepokojący kształt. Drabina rzuca cień. Ale niewykluczone, że chodzi o coś więcej. W najgorszym wypadku jest to oznaka czegoś, czego dyrektor zoo boi się najbardziej: symptom choroby, zwiastun kłopotów, sygnał, żeby uważnie obejrzeć odchody, wypytać dozorcę, wezwać weterynarza. A wszystko dlatego, że bocian stoi nie tam, gdzie zazwyczaj.

Ale pozwólcie, że przez chwilę zajmę się tylko jednym aspektem tego zagadnienia.

Gdybyście zajechali przed czyjś dom, kopniakiem otworzyli drzwi frontowe, wypędzili na ulicę mieszkających w środku ludzi i zawołali: „Idźcie sobie! Jesteście wolni! Wolni jak ptaki! No, dalej!” – to myślicie, że ci krzyczeliby i tańczyli z radości? Na pewno nie. Ptaki wcale nie są wolne. A wyrzuceni na bruk nieszczęśnicy wyjąkaliby tylko: „Jakim prawem nas wypędzasz?! To nasz dom. Nasza własność. Mieszkamy w nim od lat. Zaraz wezwiemy policję, ty draniu!”.

Czy nie mówi się: „Nie ma jak w domu”? Tak z pewnością odczuwają zwierzęta. Mają one silny instynkt terytorialny. I to jest do nich klucz. Tylko znajomość terenu pozwala im realizować dwa bezwzględne imperatywy, jakimi są unikanie wrogów oraz zdobywanie pożywienia i wody. Wybieg w zoo, jeśli tylko odpowiada warunkom naturalnym – czy jest to klatka, zagłębienie terenu, otoczona fosą wyspa, zagroda, terrarium, ptaszarnia czy akwarium – to po prostu kolejne terytorium, które różni się od innych jedynie rozmiarem i bliskością siedliska człowieka. To, że jest mniejsze niż w naturze, wynika z pewnych uwarunkowań. Terytoria w naturze są większe nie dlatego, że tak się zwierzętom podoba, ale z konieczności. W zoo robimy dla zwierząt to samo co dla siebie w domach: skupiamy na małej przestrzeni to, co w naturze jest rozproszone na większym obszarze. Kiedyś tu mieliśmy jaskinię, tam rzekę, milę dalej tereny łowieckie, niedaleko nich punkt obserwacyjny, jeszcze gdzieś indziej krzaczki z jagodami – a wszędzie czyhały lwy, węże, mrówki, pijawki i sumak jadowity; teraz rzeka płynie z kranów w zasięgu ręki, możemy myć się tam, gdzie śpimy, jeść, gdzie sobie gotujemy, otoczyć się murem obronnym i utrzymywać na swoim terytorium czystość i ciepło. Dom to takie skondensowane siedlisko, w którym zaspokajamy nasze potrzeby w sposób bezpieczny i wygodny. W przypadku zwierzęcia podobnym siedliskiem jest właściwie urządzony wybieg (co ważne, bez kominka i jego odpowiedników, obecnych we wszelkich ludzkich siedzibach). Jeśli zwierzę ma tam wszystko, czego potrzeba mu do życia – stanowisko obserwacyjne, legowisko, teren łowiecki albo żerowisko i dostęp do wody, żeby mogło się napić, umyć i oporządzić –

i nie musi wyprawiać się nigdzie na polowanie, bo dostaje jedzenie sześć dni w tygodniu, to obejmie w posiadanie swoją przestrzeń w zoo na takiej samej zasadzie, na jakiej objęłoby nowy teren na swobodzie, zbada ją i oznakuje w sposób typowy dla swojego gatunku, na przykład moczem. Gdy dopełni rytuału objęcia w posiadanie i już się osiedli, nie będzie się tam czuł jak niepewny lokator, a już na pewno nie więzień, ale raczej jak właściciel ziemski, demonstrując takie same zachowania na wybiegu, jak na swoim terytorium w naturalnych warunkach, i broniąc go zaciekle w razie ataku. Wybieg nie jest więc dla zwierzęcia ani gorszy, ani lepszy od terytorium na swobodzie; dopóki spełnia jego potrzeby, siedlisko, naturalne czy sztuczne, jest po prostu – bez jakiejkolwiek oceny – czymś danym jak cętki na sierści pantery. Można by nawet się zastanawiać, czy gdyby zwierzę było obdarzone inteligencją i potrafiło dokonać świadomego wyboru, nie wybrałoby właśnie życia w zoo, ponieważ w zoo, inaczej niż w warunkach naturalnych, nie występują pasożyty ani wrogowie, za to jest pod dostatkiem pożywienia, którego w naturalnych warunkach jest stosunkowo mało albo wręcz go brakuje. Pomyślcie sami. Czy wolelibyście mieszkać w Ritzu, z pełną obsługą i nieograniczonym dostępem do opieki lekarskiej, czy być bezdomnym, który nie ma nikogo, do kogo mógłby się zwrócić o pomoc? Zwierzęta jednak nie są zdolne do takich porównań. W ramach ograniczeń, jakie narzuca im własna natura, zadowolają się tym, co mają do dyspozycji.

Dobre zoo to miejsce, gdzie panuje starannie wypracowane status quo: tam gdzie zwierzę za pomocą moczu i innych wydzielin mówi nam: „Nie wchodź tu!”, my za pomocą barier mówimy mu: „Nie wychodź stamtąd!”. Przy takich warunkach pokojowego współistnienia wszystkie zwierzęta są zadowolone, my się odprężamy i możemy przyglądać się sobie nawzajem.

W literaturze przedmiotu spotyka się niezliczone przykłady zwierząt, które mogły uciec, ale tego nie zrobiły, albo uciekły, a potem wróciły. Znamy przypadek szympansa, którego klatki nie zamknięto na klucz i sama się otworzyła. Zaniepokojona małpa zaczęła wrzeszczeć i próbowała zatrzaskać drzwi – waliła nimi, powodując straszliwy hałas – aż wreszcie strażnik, zaalarmowany przez jednego ze zwiedzających, przyszedł z pomocą i załatwił sprawę. Stado sarn w europejskim zoo wyszło z zagrody, gdy ktoś zostawił bramę otwartą. Przestraszone obecnością zwiedzających, zwierzęta uciekły do pobliskiego lasu, w którym żyło już jedno stado dzikich sarn i było miejsce dla drugiego. Mimo to sarny z zoo szybko wróciły na swój wybieg. W innym ogrodzie zoologicznym pracownik szedł rano do pracy, niosąc deski, gdy, ku swojemu przerażeniu, z porannej mgły wyłonił się niedźwiedź i pewnym krokiem ruszył w jego stronę. Robotnik w jednej chwili wypuścił drewno z rąk i rzucił się do ucieczki. Personel zoo natychmiast wszczął poszukiwania zbiegłego zwierzęcia. Znalaziono je z powrotem na wybiegu: niedźwiedź wrócił tą samą drogą, którą się wydostał, czyli wspinając się nad fosą po przewróconym drzewie. Uznano, że przestraszył go łomot desek rzuconych przez pracownika zoo.

Nie będę jednak obstawał przy swoim. Nie zamierzam występować w obronie ogrodów zoologicznych. Możecie zamknąć je wszystkie, jeśli chcecie (i oby niedobitki dzikich gatunków

przetrwały w tym, co pozostało jeszcze z dzikiej przyrody). Wiem, że ludzie nie patrzą już przychylnym okiem na ogrody zoologiczne. Podobnie jest z religią. I jedno, i drugie popada w niełaskę z powodu złudzeń na temat wolności.

Zoo w Puduććeri już nie istnieje. Fosy zasypano, klatki rozebrano. Wędruję teraz po nim w jedynym miejscu, w którym przetrwało, w mojej pamięci.

ROZDZIAŁ 5

Historia mojego imienia nie kończy się na jego pochodzeniu. Kiedy ktoś nazywa się Bob, nikt go nie pyta: „Jak się to pisze?”. Co innego z imieniem i nazwiskiem Piscine Molitor Patel.

Niektórzy myśleli, że nazywam się P. Singh i że jestem sikhem, tylko dziwili się, że nie noszę turbanu.

Któregoś razu w czasie studiów pojechałem z kilkoma przyjaciółmi do Montrealu. Pewnego wieczoru przyszła na mnie kolej, żeby zamówić przez telefon pizzę. Nie mogłem znieść myśli, że kolejna francuskojęzyczna osoba będzie się wyśmiewać z mojego nazwiska, więc kiedy facet z pizzerii rzucił na koniec: „Jak się pan nazywa?”, odparłem po angielsku: „To moja sprawa”. Pół godziny później dostarczono dwie pizze dla pana „Tomoja Sprawa”.

To prawda, że ci, których spotykamy, wywierają na nas wpływ, że się zmieniamy, i to czasami tak głęboko, że nie jesteśmy już tymi samymi ludźmi, nawet z imienia. Przykładem może być Szymon, nazywany Piotrem, Mateusz, znany jako Lewi, Nataniel, który był także Bartłomiejem, Juda, ale nie Judasz Iskariota, tylko ten, który przybrał imię Tadeusz, Szymon, do którego mówiono Niger, Szaweł, który został Piotrem.

Mój rzymski legionista stał pewnego ranka na dziedzińcu szkolnym. Miałem dwanaście lat. Właśnie wchodziłem za bramę. Zobaczył mnie i szatański błysk rozjaśnił jego tępy mózg. Podniósł rękę, wskazał na mnie i zawołał: „Patrzcie, idzie Pissing Patel!”.

Wszyscy ryknęli śmiechem, bo Pissing znaczy po angielsku „sikający”. Rechoty ucichły dopiero wtedy, gdy weszliśmy do klasy. Ja wlokłem się na końcu, w swojej koronie cierniowej na głowie.

To, że dzieci są okrutne, nie jest dla nikogo żadną nowością. Z dziedzińca dobiegały do moich uszu niczym przeze mnie niesprowokowane okropne słowa: „Gdzie Pissing? Muszę się odlać”. Albo: „Co tak tkwisz pod ścianą jak Pissing?”. Czy coś w tym rodzaju. Wtedy zamierałem albo – przeciwnie – wracałem do tego, co robiłem wcześniej, udając, że nic nie słyszę. Szyderstwa przebrzmiewały, ale przykrość pozostawała jak woń sików długo po tym, jak one same już wyparowały.

Nauczyciele też zaczęli to robić. Wszystko przez ten upał. W miarę upływu dnia lekcja geografii, która rano była zwarta jak oaza, zaczynała się ciągnąć aż po horyzont niczym pustynia Thar; lekcja historii, tak żywa, gdy dzień był młody, schła i pokrywała się kurzem; lekcja matematyki, tak precyzyjna na początku, robiła się mętna i zawikłana. Wtedy nawet nauczyciele, pod wpływem popołudniowego zmęczenia, gdy ocierający chusteczkami czoła i karki, nawet oni, nie chcąc wcale nikogo obrazić ani ośmieszyć, zapominali o zapowiedzi wodnego orzeźwienia, jakie niesło moje imię, i zniekształcali je haniebnie. Słyszałem, jak niemal nieuchwytnie zmienia się w ich ustach jego

brzmienie. Można by odnieść wrażenie, że ich języki są jak rydwany zaprzężone w dzikie konie. Panowali jeszcze nad pierwszą sylabą, „Pi”, ale w końcu upał stawał się zbyt duży i tracili kontrolę nad spienionymi wierzchowcami, nie byli w stanie poderwać ich do skoku, żeby pokonać drugą sylabę, „sin”. Zamiast tego wpadali z rozpędem w „sing” i chwilę później wszystko było już stracone. Kiedy zgłaszając się do odpowiedzi, podnosiłem rękę, słyszałem: „Tak, Pissing?”. Często taki nauczyciel nie zdawał sobie sprawy, jak mnie przed chwilą ośmieszył. Przez moment patrzył na mnie ze znużeniem, zastanawiając się, dlaczego nie odpowiadam. Czasami klasa tak samo wykończona upałem jak on nawet nie reagowała. Nie było żadnych chichotów ani nawet uśmieszek. Ale ja zawsze słyszałem to obraźliwe zniekształcenie.

W ostatnim roku nauki w szkole Świętego Józefa czułem się jak prześladowany w Mekce prorok Mahomet, pokój z nim. I jak on zaplanował swoją ucieczkę do Medyny, hidżrę, która zapoczątkowała erę muzułmańską, tak ja zacząłem planować moją, która miała zapoczątkować nową erę dla mnie.

Po ukończeniu Świętego Józefa wstąpiłem do Petit Séminaire, najlepszej prywatnej anglojęzycznej szkoły średniej w Pudućceri. Chodził już do niej Rawi i jak wszyscy młodszy bracia cierpiałem przez to, że poszedłem w jego ślady, zwłaszcza że należał tam do najbardziej znanych i popularnych uczniów. Był w Petit Séminaire czołowym sportowcem, niezrównanym krykiecistą, kapitanem najlepszej drużyny w mieście, naszym lokalnym Kapilem Dewem. To, że ja z kolei świetnie pływałem, nie robiło na nikim wrażenia; jest coś takiego w naturze ludzkiej, że ci, którzy mieszkają nad morzem, odnoszą się podejrzliwie do pływaków, tak jak ci, którzy mieszkają w górach, odnoszą się podejrzliwie do uprawiających wspinaczkę. Ale choć już wolałbym, żeby nazywano mnie „bratem Rawiego” niż Pissingiem, nie zamierzałem być niczym cieniem. Miałem lepszy plan.

Wprowadziłem go w życie już pierwszego dnia nauki, na pierwszej lekcji. Wokół mnie siedzieli inni uczniowie ze Świętego Józefa. Lekcja zaczęła się jak wszystkie pierwsze lekcje w nowej szkole od sprawdzenia listy obecności. Wstawaliśmy z ławek i przedstawialiśmy się w takiej kolejności, w jakiej siedzieliśmy.

– Ganapathi Kumar – powiedział Ganapathi Kumar.

– Wipin Nath – powiedział Wipin Nath.

– Śamsul Hudha – powiedział Śamsul Hudha.

– Peter Dharmaradz – powiedział Peter Dharmaradz.

Nauczyciel stawiał ptaszek na liście przy każdym nazwisku i rzucał szybkie mnemotechniczne spojrzenie na przedstawiających się uczniów. Byłem okropnie zdenerwowany.

– Adzith Giadson – powiedział Adzith Giadson, cztery ławki przede mną...

– Sampath Sarodza – powiedział Sampath Sarodza, trzy ławki przede mną...

– Stanley Kumar – powiedział Stanley Kumar, dwie ławki przede mną...

– Sylwester Navin – powiedział Sylwester Navin, tuż przede mną.

Przyszła kolej na mnie. Pora poskromienia szatana. Medyno, oto przybywam.

Wstałem z ławki i szybko podbiegłem do tablicy. Zanim nauczyciel zdążył wypowiedzieć choćby słowo, wziąłem kredę i oświadczyłem, pisząc jednocześnie:

Nazywam się

Piscine Molitor Patel,

znany wszystkim jako

– podkreśliłem podwójną linią dwie pierwsze litery mojego imienia –

Pi Patel

Dla lepszego efektu dodałem:

$\pi = 3,14$

i narysowałem duży okrąg, a następnie przeciąłem go średnicą, odwołując się do podstawowej lekcji geometrii.

Zapadła cisza. Nauczyciel wpatrywał się w tablicę. Wstrzymałem oddech. W końcu powiedział:

– Doskonale, Pi. Siadaj. A następnym razem poproś o pozwolenie, zanim opuścisz ławkę.

– Dobrze, proszę pana.

Odhaczył moje nazwisko na liście. I spojrzał na następnego ucznia.

– Mansur Ahamad – powiedział Mansur Ahamad. Byłem uratowany.

– Gautham Selwaradz – powiedział Gautham Selwaradz. Mogłem odetchnąć.

– Arun Annadzi – powiedział Arun Annadzi.

Wreszcie nowy początek.

Powtarzałem to zagranie przy każdym nauczycielu. Powtarzanie odgrywa zasadniczą rolę nie tylko w tresurze zwierząt, ale i ludzi. Między jednym chłopcem o pospolitym nazwisku a drugim wybiegałem na środek klasy i ilustrowałem, czasami straszliwie skrzypiąc kredą, moje ponowne narodziny. Doszło do tego, że po kilku takich występach chłopcy śpiewnie recytowali tekst razem ze mną i to crescendo, po szybkim zaczerpnięciu powietrza, gdy podkreślałem właściwą nutę, kończyło się tak porywającym wykonaniem mojego imienia i nazwiska, że każdy dyrygent chóru padłby z zachwytu. Kilku podpowiadało mi szeptem: – Trzy! Przecinek! Jeden! Cztery!, gdy pisałem szybko po tablicy, na zakończenie tego koncertu przecinając koło z takim rozmachem, że w powietrze leciały kawałki połamanej kredy.

Kiedy od tamtego dnia podnosiłem rękę, co robiłem przy każdej okazji, nauczyciele udzielali mi głosu, wypowiadając jedną sylabę, która brzmiała w moich uszach jak muzyka. Inni uczniowie

poszli za ich przykładem. Nawet te diabły ze Świętego Józefa. Imię chwyciło. Naprawdę jesteśmy narodem inżynierów: niedługo później chłopiec nazwiskiem Omprakaś nazwał się Omegą, inny przedstawiał się jako Ipsilon i wkrótce mieliśmy Gamme, Lambdę i Deltę. Ja jednak byłem pierwszym Grekiem w Petit Seminaire i najmocniej utrwaliłem się w świadomości kolegów. Zaaprobował to nawet mój brat, kapitan drużyny krykieta, miejscowe bożyszcze. W następnym tygodniu wziął mnie na bok.

– Podobno masz jakieś nowe przezwisko? – zagadnął.

Milczałem. Bo kpiny z jego strony były nieuniknione. Nie dało się przed nimi uciec.

– Nie wiedziałem, że tak lubisz piskłeta.

Piskłeta? Rozejrzałem się wokół. Nie chciałem, żeby ktoś usłyszał, co zaraz powie Rawi, a już na pewno nie któryś z jego podnóżków.

– Rawi, o czym ty mówisz? – zapytałem szeptem.

– Mnie się ta ksywka podoba, braciszku. Zresztą każda jest lepsza od Pissinga. Nawet Pi-pi.

Odchodząc, uśmiechnął się i zapytał:

– Coś taki czerwony na twarzy?

Ale potem już dał mi spokój.

I tym sposobem znalazłem ucieczkę w greckiej literze, podobnej do chałupy krytej blachą falistą, w tej nieuchwytej, irracjonalnej liczbie, za pomocą której uczeni próbują zrozumieć wszechświat.

ROZDZIAŁ 6

Jest znakomitym kucharzem. W jego przegrzanym domu zawsze pachnie czymś pysznym. Półka z przyprawami wygląda jak regał apteczny. Kiedy otwiera lodówkę albo szafki kuchenne, ukazuje się mnóstwo etykiet, których zupełnie nie znam, nie umiem nawet powiedzieć, w jakim języku zostały zapisane. Jesteśmy w Indiach. Ale świetnie sobie radzi także z zachodnimi potrawami. Przyrządza mi najbardziej pikantny, a mimo to najdelikatniejszy makaron z serem, jaki kiedykolwiek jadłem. A jego wegetariańskie tacos wzbudziłyby zazdrość wszystkich meksykańskich szefów kuchni.

Zauważam coś jeszcze: jego szafki kuchenne są pełne jedzenia. Za każdymi drzwiczkami, na każdej półce wznoszą się piramidy starannie poustawianych puszek i pudełek. Zapasy jedzenia, które przetrwałyby oblężenie Leningradu.

ROZDZIAŁ 7

Miałem szczęście trafić w młodości na kilku świetnych nauczycieli, zarówno mężczyzn, jak i kobiety, którzy przebili się do mojego ciemnego łba i zapalili w nim kaganek. Jednym z nich był pan Satiś Kumar, nauczyciel biologii w Petit Seminaire i aktywny komunista, który żywił niezachwianą nadzieję, że obywatele Tamilnadu przestaną w końcu wybierać na swoich przywódców gwiazdy filmowe i pójdą za przykładem Kerali. Wyglądał bardzo dziwnie. Miał spiczasty czubek głowy, zupełnie łysy, i największy podbródek, jaki kiedykolwiek widziałem; a wąskie ramiona kontrastowały z wydatnym brzuchem, przypominającym podnóże góry, z tą tylko różnicą, że ta góra była jakby zawieszona w powietrzu, bo urywała się nagle i znikła horyzontalnie w spodniach. Było dla mnie zagadką, jak jego nogi, cienkie jak patyki, utrzymywały tkwiący na nich ciężar, ale musiały jakoś dawać radę, choć czasami poruszały się dziwacznie, jakby zginały się w kolanach na wszystkie strony. Cała jego sylwetka miała geometryczny kształt: można by odnieść wrażenie, że składa się z dwóch trójkątów, mniejszego i większego, balansujących na dwóch równoległych liniach, jakimi były nogi. Ale stanowiła żywy organizm, pokryty brodawkami, ze sterczącymi z uszu kępkami czarnych włosów. I sprawiała sympatyczne wrażenie. Bo niemal na całą szerokość trójkąta, jaki tworzyła głowa, rozciągał się uśmiech.

Pan Kumar był pierwszym zaprzysięgłym ateistą, jakiego poznałem. Odkryłem to nie w klasie, podczas lekcji, lecz w zoo. Był tam stałym bywalcem, czytał tabliczki z nazwami oraz charakterystyką gatunków i zachwycał się wszystkimi zwierzętami, które widział. Każde było dla niego triumfem logiki i mechaniki, a przyroda jako całość stanowiła wyjątkowo piękną ilustrację koncepcji naukowych. Kiedy zwierzęta czuły potrzebę łączenia się w pary, w wydawanych przez nie odgłosach godowych słyszał nazwisko Gregora Mendla, ojca genetyki; gdy musiały wykazać bojowość – przywoływały według niego Karola Darwina, ojca selekcji naturalnej, a to, co braliśmy za beczenie, mruczenie, syczenie, prychanie, ryczenie, warczenie, wycie, ćwierkanie i skrzeczenie, brzmiało w jego uszach jak cudzoziemski akcent. Pan Kumar chadzał do zoo, żeby poczuć puls wszechświata, wówczas za pomocą stetoskopu, jakim był jego umysł, upewniał się, że wszystko jest w porządku, naprawdę w porządku, i gdy opuszczał ogród, czuł się naukowo odświeżony.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem jego trójkątną postać wędrującą rozkołysanym krokiem po zoo, nie śmiałem do niego podejść. Bardzo lubiłem go jako nauczyciela, ale dzieliła nas przepaść, on był kimś, a ja nikim. Bałem się go trochę. Przyglądałem mu się więc z odległości. W pewnej chwili podszedł do wybiegu nosorożców. Dwa nosorożce indyjskie były wtedy wielką atrakcją naszego zoo, a to z powodu kóz. Nosorożce to zwierzęta towarzyskie i Peak, młody dziki samiec, którego dostaliśmy, wykazywał oznaki przygnębienia na skutek izolacji. Coraz bardziej tracił apetyt. Żeby

temu zaradzić na czas poszukiwań samicy, ojciec postanowił sprawdzić, czy Peak nie przyzwyczyliłby się do życia z kozami. Gdyby się udało, cenne zwierzę byłoby uratowane. Jeśli nie, najwyżej stracilibyśmy kilka kóz. Udało się świetnie. Peak i kozy stali się wręcz nierozłączni, nawet gdy przybyła Summit. Od tej pory, gdy nosorożce kąpały się w błotnistej sadzawce, kozy zbierały się wokół niej, a gdy z kolei kozy pożywiały się w swoim zakątku, Peak i Summit pełniły przy nich straż. Ta koegzystencja bardzo podobała się publiczności.

Pan Kumar w pewnym momencie uniósł głowę i zauważył mnie. Uśmiechnął się i machając jedną ręką, podczas gdy drugą trzymał na barierce, przywołał mnie do siebie.

– Witaj, Pi – powiedział na przywitanie.

– Dzień dobry panu. To miło, że przyszedł pan do zoo.

– Stale tu przychodzę. Można by rzec, że to moja świątynia. Ciekawe... – Wskazał na wybieg. –

Gdybyśmy mieli takich polityków jak te kozy i nosorożce, w naszym kraju na pewno byłoby mniej problemów. Ale, niestety, pani premier ma skórę nosorożca, ale ani odrobiny jego zdrowego rozsądku.

Nie znałem się za bardzo na polityce. Ojciec i matka wciąż narzekali na panią Gandhi, ale mnie mało to obchodziło. Pani Gandhi mieszkała daleko na północy, nie w zoo ani nawet nie w Pudućceri. Czuję jednak, że muszę coś powiedzieć.

– Uratuje nas wiara – odparłem. Odkąd pamiętam, religia była bowiem bardzo bliska mojemu sercu.

– Wiara? – Pan Kumar uśmiechnął się szeroko. – Nie wierzę w religię. Religia to ciemnota.

Ciemnota? Byłem zbity z tropu. Pomyślałem: ciemność to ostatnia rzecz, jaka kojarzy się z religią. Przecież religia to światło. Czyżby poddawał mnie próbie? Czyżby mówił: „Religia to ciemnota”, tak jak czasami rzucał na lekcji coś w stylu: „Ssaki znoszą jaja”, żeby sprawdzić, czy ktoś go poprawi? („Tylko dziobaki, proszę pana”).

– Nie ma żadnych podstaw, żeby wychodzić poza naukową interpretację rzeczywistości, tak jak nie ma racjonalnego powodu, żeby wierzyć w cokolwiek poza poznaniem zmysłowym. Czysty intelekt, uważna obserwacja i odrobina wiedzy naukowej wystarczą, aby zdemaskować religię jako zabobon. Bóg nie istnieje.

Czy naprawdę tak powiedział? Czy może to stwierdzenie jakiegoś innego ateisty spośród tych, których poznałem później? W każdym razie o to mniej więcej chodziło. Nigdy wcześniej niczego podobnego nie słyszałem.

– Po co tolerować ciemnotę? Jeśli tylko przyjrzymy się uważnie, wszystko mamy przed sobą jak na dłoni.

Wskazał na Peaka. Ale chociaż bardzo podziwiałem to zwierzę, nigdy nie widziałem w nosorożcach źródła światła.

Ciągnął dalej:

– Niektórzy mówią, że Bóg umarł podczas podziału Indii w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym. Inni, że w siedemdziesiątym pierwszym, podczas wojny. A może to się stało wczoraj tu, w Pudućceri, w sierocińcu. Tak mówią niektórzy, Pi. Kiedy byłem w twoim wieku, leżałem w łóżku chory na polio. Codziennie zadawałem sobie pytanie: „Gdzie jest Bóg? Gdzie jest Bóg? Gdzie jest Bóg?”. Bo nie przychodził i nie przychodził. I to nie on mnie uratował... tylko medycyna. Moim prorokiem jest rozum, który mi mówi, że podobnie jak staje zegarek, tak i my umieramy. I koniec na tym. Jeśli zegarek nie działa jak trzeba, musimy go naprawić, tu i teraz. Pewnego dnia przejmujemy środki produkcji i na ziemi zapanuje sprawiedliwość.

Tego było dla mnie za dużo. Ton, jakim mówił, nawet mi odpowiadał – serdeczny i jednocześnie śmiały – ale przekaz wydał mi się przygnębiający. Nic na to nie odpowiedziałem. Nie dlatego, że bałem się rozzłościć pana Kumara. Obawiałem się raczej, że kilkoma pochopnie rzuconymi słowami mógłby zniszczyć coś, co kochałem. A jeśli jego słowa porażą mnie tak, jak jego niegdyś poraziło polio? Cóż to musi być za straszliwa choroba, jeśli zabiła w człowieku Boga?

Odszedł, chwając się i kołysząc na tym rozszalałym morzu, jaki był dla niego stały grunt.

– Nie zapomnij o wtorkowym sprawdzianie. Ucz się pilnie, Trzy Czternaście.

– Tak jest, proszę pana.

Stał się moim ulubionym nauczycielem w Petit Seminaire, i to ze względu na niego wybrałem potem zoologię na uniwersytecie w Toronto. Czulem, że łączy nas pewne powinowactwo duchowe. Po raz pierwszy odniosłem wrażenie, że ateści są moimi braćmi w innej wierze i każde słowo, które wypowiadają, jest wyrazem tej wiary. Że jak ja idę tak daleko, jak daleko jest w stanie zaprowadzić ich rozum – a potem skaczą przed siebie.

Będę szczery. To nie o ateistów się boję, ale o agnostyków. Wątpliwości czemuś służą tylko przez jakiś czas. Wszyscy musimy przejść przez ogród Getsemani. Jeśli Chrystus miał chwile zwątpienia, to my też musimy je mieć. Jeśli Chrystus przeżył pełną rozterek noc na modlitwie, jeśli wyrzucił z siebie na krzyżu: „Mój Boże, mój Boże, dlaczego mnie opuściłeś?”, to z pewnością i nam wolno wątpić. Ale potem trzeba iść dalej. Wybrać powątpiewanie jako filozofię życia to jak wybrać bezruch jako środek transportu.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Nexto.pl](#).